

Wszyscy moi
nieznajomi

Dariusz Muszer

Wszyscy moi nieznajomi



Wydawnictwo 13 Muz
Szczecin 2004

Za młodu, jeśli miałem ochotę na miłość,
szedłem do kobiety i brałem, nienasycony jak bóg;
pełnymi ustami czerpałem z gorącego źródła.
Potem coraz rzadziej, aż przeszło, odeszło,
miłość ziemską przestała dla mnie cokolwiek znaczyć.

Nie miałem rodziny, nie miałem nikogo,
o kogo mógłbym się troszczyć, poza mną samym.
Poszedłem więc w dalekie góry,
gdzie przez czterdzieści lat w samotni
na brzegu przepaści próbowałem czerpać z innego źródła.

Nie znalazłem Śambhali, wiecznej krainy,
w której dobrzy mędrcy trzymają świat w równowadze.
Nie doczekałem ostatecznej wojny między siłami Zła i Dobra.
Tylko przez chwilę czułem miłość,
głęboką jak sen najstarszego słońca.

Znalazłem odciski stóp
stworzenia nazywanego Yeti;
znalazłem śnieg, co od tysięcy lat nie topnieje,
a w nim moje ziemskie ciało,
pogrzebane w kilku poprzednich życiach.

Wpatrując się w moje twarze, spostrzegłem,
jak wiele dzieli mnie jeszcze
od doskonałości płatka śniegu.
Gdy zjawiłem się po raz kolejny,
znowu poszedłem w te same góry.

Lecz tym razem nie znałem już,
co oznacza rozpacz.
Zabrano mi kolejną namiętność,
podarowano za to kolejny płatek śniegu,
abym go rozpoznał.

Lucyna. Czerwone prześcieradło

Na początku nie miałam zielonego pojęcia,
ani o mężczyznach, ani o seksie, ani o miłości.
Nie wiem, co on sobie przy tym myślał,
kiedy trzy razy pod rząd spuszczał się we mnie.
Ja nie myślałam nic.
Jego szorstkie dłonie były czarne od pyłu węglowego.
Wszystko mnie bolało. Zaciśnęłam zęby i wytrzymałam.
Jeśli krzyczałam, dusił mnie, wpychając język w usta.

Ze wstydu chciałam zapaść się pod ziemię,
gdy rano ukradkiem zwijałam czerwone prześcieradło.
Poszłam za miasto i wrzuciłam je do rzeki.
Nie chciałam, aby babcia odkryła,
że jestem taką samą dziwką, jak moja matka.
Kiedy tonęło w brudnej wodzie,
pomyślałam, że oto coś się skończyło
i że powinnam pójść za swoją krwią.

Potem urodziło się dziecko.
Babcia zmusiła tego, co mnie zgwałcił,
aby na zawsze został ze mną. Został i był szczęśliwy.
Teraz mam prawie pięćdziesiątkę.
Dziecka nie ma, poszło w świat, żyje wśród obcych.
Gdy ten, co mnie zgwałcił, wychodzi,
cieszę się, że będę miała chwilę dla siebie
i że nie będę musiała wysłuchiwać jego milczenia.

Nie chodzę do kościoła, jak inne.
Nie proszę o nic i nie chcę, aby mnie o coś proszono.
Maluję akwarelami morze, którego nigdy nie widziałam,
i nadal nie mam pojęcia ani o mężczyznach, ani o miłości.
Czerwone prześcieradło tonie codziennie w brudnej rzece
i nikt mnie nie słyszy, gdy płaczę.
Zaciskając zęby, odpoczywam po ciężkim życiu.

Georg. Modra kapusta

Gdyby nie jej babcia,
byłbym całe życie nieszczęśliwy.
Lucyna dała mi dziecko, czysty dom
i śląskie kluski z roladą, sosem i modrą kapustą.
Przyrządziła je co niedzielę,
świętowałam więc tak samo jak inni.

Moje ręce nie trzymają już kilofa,
a żona od lat nie gotuje.
Mści się, choć kluski są niewinne.
Nie dałam jej tego, co chciała,
gdyż nigdy nie dowiedziałem się,
czego naprawdę chce.

W niedzielę, w porze obiadowej
przechadzam się pod oknami familoków.
Kiedy się mocno skupię,
wiatr przynosi mi zapach rolady i modrej kapusty.
Wieczorami oglądam swoje życie w telewizji
i jest mi dobrze.

Jadwiga. Przysięga

Zasypywał mnie kwiatami,
 lecz ja chciałam, żeby zasypał mnie pieniędzmi.
 Był jednak na to za mało sprytny i za głupi.
 Nie rozumiał, że najważniejszy
 jest własny dom, ogródek i trójka dzieci.
 Żadnej z tych rzeczy mi nie dał.
 Ilekroć próbowałam mu o tym powiedzieć,
 uciekał i wracał następnego dnia pijany.

Za każdym razem wybaczałam mu,
 gdyż myślałam, że jeszcze go wychowam.
 On jednak nie zmieniał się:
 zasypywał mnie kwiatami,
 a ja chciałam pieniędzy.

Ciągle jesteśmy razem.
 Nie słucham ludzi, którzy mówią,
 że pieniądze szczęścia nie dają.
 Wiem, że kwiaty też tego nie czynią.

Gdy leżę w nocy i nie mogę zasnąć,
 chciałam wbić mu w gardło
 te wszystkie kwiaty, które mi podarował.
 Słyszę, jak pijany chrapie,
 i mięknię.
 Głaszcząc go po głowie,
 pamiętam o przysiędze.

Zenon. Nocna modlitwa

Miałem słabość do kwiatów, to prawda,
 i do kobiet – to prawda druga.
 Ty wiesz o tym najlepiej,
 bo to przecież Twoja sprawka.
 Jadwiga tego nie rozumiała.
 Zdradzałem ją często, przy każdej okazji,
 nigdy jednak nie zapomniałem o wiązance,
 kiedy skruszony wracałem rano.

Była dla mnie królową,
 żadna inna nie dorównywała jej w niczym,
 poza oczywiście łóżkiem –
 na tym Jadwiga zupełnie się nie znała.
 To mi nie przeszkadzało,
 bo któż z nas jest doskonały.
 Poza Jadwigą.
 No i Tobą.

Pewnego dnia zacząłem bać się,
 że zabije mnie podczas snu.
 Powiem Ci, że tak naprawdę to nie wiem,
 dlaczego dotychczas tego nie zrobiła.
 Myśli i czyny królowej chadzają
 po prostu innymi drogami.
 Czekam, może kara mnie nie minie.

Jeśli chcesz już wysłać kogoś po mnie,
 to wysyłaj. Tylko więcej nie dręcz.
 Jak Jadwiga.
 I jak tylko Ty to potrafisz.

Kochałam go i on mnie kochał nad życie.
Byliśmy najbardziej dobraną parą na roku,
wróźono nam długie pożycie i ogrom szczęścia.
Kiedy stałam w kościele, cała w bieli,
z płonąca świecą w skostniałych dłoniach,
widziałam niebo, które podtrzymywał na barkach mój mąż.
Nad ranem pachniały wilgotne akacje, ćwierkały wróble,
a ja wsłuchiwałam się w jego spokojny oddech,
jak w niekończącą się opowieść Szeherazady.

Potem zaczęliśmy żyć.
Całowaliśmy się przy każdym rozstaniu i spotkaniu
i ciągle wszystko chcieliśmy o sobie wiedzieć.
Nawet na toaletę chodziliśmy wspólnie,
aby nie rozstawać się ani na chwilę.
Byliśmy dziećmi Arkadii, a każdy dzień
przynosił nam spełnienie.
On nosił mnie na rękach, i ja go nosiłam.
Był już wtedy niewiele większy ode mnie.

Wszystko skończyło się,
gdy nagle zaczął zgrzytać zębami.
Lekarz powiedział, że to z niedoboru magnezu
i że musi zakładać plastikową szynę na noc.
Nie chciał. Ja też nie chciałam.
Nie mogłam znieść tego zgrzytania,
gdyż dobrze wiedziałam,
że to nie magnez był tego powodem,
tylko on i jego zdrada.

Musiłam podjąć decyzję. Toteż podjęłam.
Zabrano mi moją miłość i nie dano nic w zamian.
Kazałam mu wynieść się i spać w ostatnim pokoju.
Pomimo że śpię z zatyczkami w uszach,
i pomimo że wszystkie drzwi są dokładnie zamknięte,
wyraźnie słyszę to jego zgrzytanie,
jak wyrzut, na który sobie nie zasłużyłam.
Żał mi tylko tamtego poranka i wilgotnych akacji,
po których spływa przez sen jego ciche westchnienie.

Powiedziałem jej po naszej pierwszej sprzeczce,
że któregoś dnia zaczniesz mnie nienawidzić
i będzie przekonana, że to wyłącznie moja wina.
No i wykrakałem. Jakże mogło być inaczej.

Stało się to po siedmiu latach od dnia ślubu.
Zazwyczaj panowałem nad wszystkim,
tylko w nocy zgrzytałem bezwiednie zębami
i nie mogłem się powstrzymać.

Dałem jej całą moją miłość,
a ona zabrała mi ją, jak kelnerka napiwek,
i zamknęła w kartonowym pudełku po butach,
gdzie kryła wszystkie swoje niezjedzone skarby.

Gdybym wtedy nie otworzył okna,
i nie zapragnął wywietrzyć pokoju,
na pewno nie przestałaby mnie kochać.
Nasza miłość czuła się dobrze tylko w zaduchu.

Ukradłem jej cały zapas zatyczek do uszu
i wrzuciłem do toalety, wiele razy spłukałem.
Była to jedyna zemsta,
na jaką się odważyłem.

Teraz będę zgrzytał zębami do końca
i nic mnie już nie zbawi.

Gdyby ktoś powiedział mi przed laty,
że ta kobieta będzie ostatnią w moim życiu,
nie uwierzyłbym. Teraz też nie wierzę.
Fakty przeczą jednak temu.
Nie wierzę w fakty. Nie ufam nawet rzeczywistości,
choć ona jedna nie wywiodła mnie nigdy na manowce.

Odeszła ode mnie dziewięć lat temu,
a ja ciągle czuję jej migdałowy zapach.
Nigdy nie miałem do niczego dobrego nosa,
dlatego dziwi mnie to, drażni
i nieustannie na nowo wytrąca z równowagi.
Znam się jedynie na budowaniu mostów i dróg.
Zbudowałem ich tyle, że gdzie bym nie jechał,
zawsze jadę po swojej drodze.

Z chemicznego i fizycznego punktu widzenia
tego zapachu nie ma. Być go bowiem nie może.
Żaden zapach nie jest tak trwały,
aby nie ulotnił się po tylu latach.
Dawno wyrzuciłem wszystkie meble,
zmieniłem wykładziny, spaliłem dębowy parkiet,
wiele razy wymyłem i przemalowałem całe mieszkanie.

Wszystko na próżno.
Ciągle czuję tę migdałową kobietę,
o której nikt mi nie powiedział,
że będzie ostatnią w moim życiu.
Wietrzę nadal często, zacząłem palić fajkę,
aby mieszkanie przesiąkło dymem.

Gdyby ktoś zapewniał mnie dzisiaj,
że to właśnie jest prawdziwa miłość,
oddałbym mu za to mój własny nos.
I niech zawalą się wszystkie drogi i mosty,
jakie kiedykolwiek zbudowałem.
Również migdały nie będą mi już potrzebne.
Urodziłem się jako ptak bez skrzydeł,
umrę jako bezrobotny inżynier.

Byłam z nim krótko,
wszystkiego niecałe trzy lata, o miesiące nie chodzi.
Odeszłam, gdyż był przeraźliwie nudny,
poza tym mył się bardzo rzadko,
mnie również zabraniał.
Krzyczał, gdy usłyszał plusk wody w umywalce,
o wannie nie wspominając.
Czy z takim człowiekiem można żyć!

Nie znosiłam smrodu jego spoconego ciała,
nie znosiłam własnego zapachu, to trzeba zrozumieć.
Zużywałam tony odświeżaczy,
chciałam, aby nasze wspólne mieszkanie
pięknie pachniało, to się rozumie.
Kupowałam dezodoranty, perfumy i pachnące wody,
zlewałam się nimi, cała, od stóp do głów.
Na moim ciele nie było wolnego miejsca,
tak to trzeba rozumieć.
Pachniałam jak kwiat.
Dlaczego odeszłam? Stracił pracę,
za pieniądze dla bezrobotnych
nie da się kupić zbyt dużo perfum.

Teraz mieszkam z innym, oficjalnie, rozumie się.
Nigdy nie pomyślałabym o tamtym sprzed dziewięciu lat.
Dzisiaj przyszedł tutaj tylko dlatego,
gdyż słyszałam, że się w końcu powiesił.
Tak, to są moje stare rajstopy,
myślałam, że wszystko zabrałam ze sobą.
Człowiek nie zauważa tylu spraw w życiu.
Jak mu je zdejmiecie z szyi,
możecie wyrzucić. Dawno mam nowe.

Sprzątnąłeś mi ją sprzed nosa,
lecz nie mam o to żalu.
Nie da się przecież zamknąć ptaka w dłoni
i powstrzymać go, aby nie uleciał.
A ona jest jak niedościgły ptak,
lotna dzika gęś.

Gdybym nie pozwolił tobie jej malować,
może wszystko potoczyłoby się inaczej,
a może tak samo.
Nie był to żaden akt,
ot, zwykły portret, który nadaje się do stołowego,
gdzie każdy może go podziwiać.
A jednak wystarczyło,
abyś wyciągnął rękę po nie swoje.

Dbaj o nią. Wiesz przecież,
jak delikatne są dzikie kaczki.
Słyszałem, że zamykasz ją w pracowni
i znikasz na wiele dni.
Nie rób tego, niech cię Bóg strzeże.
I nie pij tyle, bo masz przecież dla kogo żyć.
Gdybyśmy nie spotkali się,
ucałuj ją ode mnie,
ale pod żadnym pozorem nie mów jej o tym.

Nie zapomnij, żeby na śniadanie
dostawała zawsze mleko z miodem,
tego roku zima sprzyja przeziębieniom.
Gdyby chciała wrócić i zapomniała klucza,
znajdzie mój pod wycieraczką.

Wcale nie chciałem jej, nie podobała mi się,
 była brzydka i nie stawał mi, gdy się rozbierała.
 Została jednak.
 Nie miałem sił jej wyrzucić.
 Ciągle mówiła o tym, jakim tyranem jest jej mąż
 i że za nic nie chce do niego wracać.
 Tak więc to litość doprowadziła mnie do tego stanu.

Nie mogę malować, wszyscy omijają mnie z daleka
 i nie mam żadnych nowych zamówień.
 Ona jest jak Jonasz, przynosi pecha wszystkim,
 którzy zabiorą ją na pokład.
 Próbowałem przypomnieć sobie,
 jak to jest, gdy się maluje tylko dla siebie,
 gdy się tworzy dla samego tworzenia –
 nic z tego nie wyszło.

Mój talent, jeśli go w ogóle kiedykolwiek miałem,
 odleciał jak nieuchwytny ptak.
 Gdyby ktoś przyszedł i zabrał tę kobietę,
 może zacząłbym na nowo żyć.
 Czy nikt, oprócz mnie,
 nie chodzi już po tym świecie?
 Oddajcie mi spokój,
 oddajcie mi mój wczorajszy spokój.

Zawsze pragnęłam żyć z artystą.
 Pierwszy, jakiego spotkałam,
 od razu zakochał się we mnie.
 Widziałam to po tym, jak uważnie mi się przyglądał,
 malując na poddaszu mój portret,
 i jak rozbierał mnie wzrokiem.
 Na drugim posiedzeniu sama się rozebrałam.

Nie wiedziałam jednak,
 jak bardzo jest zakłamanym.
 Kazał mi się ubrać.
 Powiedział, że malujemy portret, a nie akt.
 Każdy tak może mówić, ja wiedziałam swoje.
 Nie posłuchałam go, nie ubrałam się.
 A niech sobie wyobraża, jak wyglądałam ubrana!

Potem nie chciał mnie puścić do domu,
 musiałam więc odejść od męża.
 Nie była to wielka strata,
 gdyż zadręczał mnie swoją miłością.

Kiedy mój artysta wychodzi,
 zamykam drzwi pracowni na klucz i czekam.
 Kiedy wraca, cieszę się na jego widok.
 Często myślę, wpatrując się w płomień świeczki,
 jak to dobrze, że marzenia dziewczynek się ziszczają.

Najbardziej boję się zimna
 i otwartych drzwi,
 przez które można jak ptak wylecieć.

Trzeci raz już się nie pomyłę,
powiedziałam sobie i wysłałam
za przedsiębiorcę pogrzebowego.
Miał suche dłonie i brodawkę na wardze.
Ludzie zawsze będą umierali,
w tej branży nie ma plajt, śpiewałam sobie.
Każdy musi znaleźć chwilkę czasu, aby umrzeć –
i tak rok w rok, przez okrągły rok.

Mój pierwszy był taksówkarzem.
Miał własną taryfę – stracił ją,
gdy zaplątał się do kasyna nad jeziorem.
Kto raz zagra, będzie przegrywał zawsze,
tak mu śpiewałam, i miałam rację.
Nigdy się nie podniósł.
Ja nie nadawałam się do podnoszenia.
Znaleziono go na wysypisku za miastem,
gębę i nerki za długi mu skuli.
Mówiono, że gdy wieziono go do szpitala,
jeszcze żył. Potem już nie.
Wyprawiłam mu skromny pogrzeb.

Mojego drugiego zapoznałam
na balu towarzystwa dobroczynności.
Tańczył wspaniale i był tak bogaty,
że aż zapierało dech.
Dał mi wszystko, a potem zabrał.
Gdy umarł, okazało się, że był bankrutem.
Jego ubezpieczenie na życie pokryło większe długi,
resztę zżarły dzieci i daleka rodzina.
Na pogrzebie nie było ani pastora,
ani wieńców, ani łez.

Trzeci raz nie pomyliłam się,
z sześćdziesiątką na karku
nie robi się już błędów.
Umarł na brodawkę,
która stała się większa od jego głowy,
a ja przejęłam po nim cały interes.
Widzę, jak ludzie umierają,
codziennie transportuję ich wielką łodzią
na tamten świat i jestem z siebie dumna,
że za trzecim razem już nie pomyliłam się.

Chyba od początku byłem skazany,
innego wyjaśnienia nie znajduję.
Urodziłem się łysy – i taki pozostałem,
urodziłem się mały, miękki – i taki pozostałem;
urodziłem się bez palców u nóg,
i już nigdy mi nie wyrosną.
Urodziłem się w krzywym zwierciadle
zamieszkałym przez chińskie smoki chaosu.
Matka to rozumiała, ale szybko umarła,
zostawiając mnie samego.

Między jedną butelką wina a drugą
tłumaczę na niemiecki sonety Rubéna Darío
oraz dramaty Ramóna del Valle-Inclána.
Ktoś kiedyś zamówił je u mnie –
ale kiedy? Ale po co? Ale kto?
W dzień często nagle przysypiam na krześle,
sam nie wiem, skąd się to bierze,
ale gdzieś przeczytałem, że chodzi o poziom cukru.
Mam go za mało albo za dużo, albo nie mam go wcale.

Ostatnio ktoś przyniósł mi komputer –
ale kiedy? Po co? I kto?
Jest początek zimy, krótkie dni, ciemne noce.
Słońce przestało na trzy miesiące zaglądać
do mojego mieszkania w studni.
Palę dużo światła, nie jest jednak jasno.
Na dobre demony zasypiają tylko wtedy,
gdy płaczę albo gdy głośno recytuję im sonety.

I tak wiodę życie: między butelką wina,
monitorem komputera a drzemką na krześle.
Jedynę szaleństwo, na jakie sobie pozwalam, to spanie nago;
w ten sposób dokładnie widzę całą swoją odrazę.
Moje ciało spaceruje po uliczce del Gato,
i odbija się w krzywych lustrach Goi.
Kiedy pada, otwieram wszystkie okna na oścież
i próbuję zrozumieć.

Bez wątpienia, byłem promiskuitą,
jak mawiał Gruby Steenky.
On zawsze musiał się wymądrzać
i ciągle szukał w książkach nowych słów.
Ja szukałem chłopców w barach i na ulicy,
podzieliliśmy się więc dobrze –
nikt nie włąził drugiemu w paradę.
Zaliczyłem wszystkie szalety w mieście,
zaliczyłem wielu chłopców.
Sprawiało mi to przyjemność.
Nie mogłem żadnego zabrać ze sobą do domu,
bo najpierw była matka, potem Gruby Steenky.
Któregoś dnia powiedział, że to wszystko źle się skończy
i kazał mi wynieść się raz na zawsze.
Wtedy zrozumiałem, że z tym jego kochaniem,
to była jedna wielka bujda.
W mieście pojawił się świeży towar,
nie myślałem więc, co będzie dalej.
Zawsze lubiłem słowiańskich chłopców,
zostało mi to chyba po tym, który mnie zrobił.
Matka mówiła, że był Polakiem
i że uciekł do Australii, gdy chodziła z bębmem.

Bijcie, zabijcie – nie wiem, gdzie to załapałem.
Gdyby mnie przypadkiem nie zbadano,
do dziś pewnie myślałbym, że to przeziębienie
albo wiosenne osłabienie.
Zbliża się koniec.
Gruby Steenky przychodzi codziennie na oddział.
Jak sobie to załatwił, nie wiem;
on zawsze był cwany, jak moja matka.
Nie mówi, że to wszystko przez promiskuityzm,
nie używa już tych swoich mądrych słów
i niczego mi nie wyrzuca. Boi się.
Kładzie swoją rękę na mojej
i bezustannie patrzy we mnie jak w obraz.

Słyszałem, jak mówili,
 że tak głęboka miłość
 jest możliwa tylko między pedałami.
 Ale to kłamstwo.
 Gdyby żyła moja matka,
 pokazałaby wam, co oznacza miłość.

Chciałbym jeszcze raz podnieść się
 i nie mieć przy tym zawrotów głowy.
 Poszedłbym w miasto, wypił kilka drinków,
 zapalił marychę, obciągnął komuś druta,
 pozwolił, aby ktoś mi obciągnął,
 i objął ramionami całą tę cudowną noc.

Zdradzał mnie na każdym kroku,
 znieważał i wypominał, że jestem tłusty,
 jak najtłustszy na świecie kawałek gówna.
 Nie wychodziliśmy nigdzie razem,
 wstydził się pokazywać ze mną na mieście.
 Był nieopanowany, niepohamowany,
 jakby ciągle bał się, że nie zdąży na pociąg.
 Nie wiedział, że pociągi odchodzą i przychodzą,
 a szyny i stacje pozostają.

Wtedy nie rozumiałem go.
 W chwili najczarniejszej rozpacz powiedziałem,
 żeby sobie poszedł i więcej nie wracał.
 Po raz pierwszy wziął coś dosłownie:
 odszedł i zapomniał o mnie.
 To nie miłość do słowiańskich chłopców
 i nienawiść do nieznanego ojca zabiły go,
 tylko moja niecierpliwość.
 Byłem nieobecny i głuchy.
 Gdybym nałogowo nie czytał tylu książek,
 znalazłbym czas, żeby zobaczyć,
 co się wokół mnie dzieje.

Teraz nie mogę już zrobić nic.
 Trzymam jego rękę,
 z każdym dniem bardziej przezroczystą,
 i nikt nie może mi jej zabrać.
 Czekam na swoją śmierć.
 Chciałbym wynieść stąd Kurta,
 usiąść z nim na zielonej łące,
 rozciągającej się po horyzontu kres,
 a słońce niech pieści nas delikatnie przez cały rok.
 Tam, gdzie niedługo pójdzie Kurt,
 nie będę już tłusty i nie będę już śmierdział.

Miała rację moja ciotka,
gdy wmawiała mi przy każdym śniadaniu,
że miłość to puste słowo
i tylko podbrzusze z tego boli.
Byłam jednak wtedy za młoda, żeby to zrozumieć.
Wierzyłam, że wystarczy tylko spotkać kogoś takiego,
kogo można pokochać, a wszystko będzie dobrze.

Pokochałam go w chwili, gdy wytarł buty,
i wszedł do przedpokoju.
Zanim odstawił parasol, pogłaskał mnie po głowie.
Miałam dziesięć lat, wtedy kocha się jeszcze bardzo szybko.
Pracował w banku, był szefem całego tego interesu,
jak z dumą podkreślała ciotka.

Odwiedzał nas często.
Zazwyczaj najpierw była kaczką z jabłkami,
a potem chichot ciotki za ścianą.
Któregoś wieczoru po raz pierwszy
pocałował mnie na dobranoc.
Z radości długo nie mogłam zasnąć.

Zostawał coraz dłużej w moim pokoju,
aż kiedyś położył mi rękę na brzuchu,
dokładnie tam, gdzie wstyd jest największy.
Następnym razem kazał mi szeroko otworzyć usta;
białe glisty rozpełzły się we mnie jak w zepsutym mięsie.
Nie krzyczałam, bałam się, że odejdzie na zawsze.
Potem nie krzyczałam, gdyż bałam się,
że ciotka wejdzie i wszystko zobaczy.

Teraz mam trzydzieści lat i też nie krzyczę.
Te dwa lata, przez które odwiedzał mnie wujek,
zamknęły mi usta na zawsze.

Nigdy nie skazano mnie za to, co zrobiłem.
Zresztą, nic przecież nie zrobiłem.
To nie ja ukradłem te pieniądze,
tylko włamywacze, których nigdy nie złapano.
Na wszystko potrzebne są dowody,
potrzebni są świadkowie i mocne podpisy.
Wszyscy, którzy mnie znali, podpisaliby,
że byłem, jestem i będę niewinny.

Jako dyrektor banku
nie dałem nikomu ani za dużo, ani za mało;
wszyscy dostali akurat tyle, ile im się należało.
Nie krzywdziłem ludzi,
jeśli nie widziałem takiej potrzeby.
Może niekiedy za mało wspomagałem biednych,
ale czyż można wszystkim dogodzić!

Nie pytajcie, czy coś mnie łączyło z Agatą,
nie wiem, nie pamiętam, nie znałem jej.
To moja nieszczęsna żona jest winna, że leżę tutaj,
na białym prześcieradle, nagi jak dziewczynka.
To ona przysłała anioły,
które związały mnie piórami
i obcięły mi kuchennym nożem penisa.

Gdy cała krew wycieknie ze mnie,
zabiorą mnie do nieba.
Kosmaty pajak spuszcza się powoli z sufitu;
jak mnie dotknie, będzie po wszystkim.
Najbardziej boję się, co powiem żonie,
gdy powita mnie na górze i zapyta,
gdzie się podziały wszystkie nasze pieniądze.

Mariola. Najlepsze kawałki kury

Na miłość i wdzięczność własnych dzieci
nie ma co w życiu liczyć.
Urodziłam je, pieściłam, przewijałam, karmiłam,
dawałam zawsze najlepsze kawałki kury,
sama jedząc skrzydełka i kuperek,
a one wyjechały i nie pamiętają o mnie.

Został mi tylko Zygmunt,
a on od samego początku
był jednym wielkim nieporozumieniem.
Ta, która chce mieć dzieci, musi mieć chłopca,
inaczej z całej sprawy nici.
Ja miałam Zygmunta.
Był głupi i głuchy, ale umiał robić dzieci.
Choć tyle było z niego pożytku.

Moje niewdzięczne dzieci
ślą mi życzenia z Ameryki i Niemiec;
piszą, że na złote wesele nie przyjdą,
gdyż daleko i nie mają urlopu.
Ja tam urlopu nigdy nie miałam,
zawsze byłam gotowa rodzić dzieci.

Gdybym wiedziała, jakie okażą się niewdzięczne,
potopiłabym jak koty, kiedy jeszcze mogłam,
i zjadłabym wszystkie nóżki i piersi od kur,
jakie dla nich kiedykolwiek ugotowałam.

Zygmunt. Niebieska chmura

Co ja miałem za życie z tą babą,
nogami prosto do nieba powinienem pójść.
Nie pójdę tam jednak, bo nie chcę jej spotkać.
Mówiła, że jestem głupi
jak but z lewej nogi – przytakiwałem,
mówiła, że jestem niezguła i nierób – przytakiwałem,
mówiła: włącz na mnie i rób – włączyłem i robiłem.
Lepszego od niej pułkownika
ze świecą szukać w całym wojsku.

Teraz już tylko zrzędzi,
nie każe włączyć na siebie.
Gdyby za zrzęczenie dawano ordery,
byłaby tak poobwieszana,
że nie mogłaby ruszyć się z miejsca.
Nie wiem, jak to się stało,
że dożyłem z nią złotego wesela.

Zaplanowałem sobie, że następną rocznicę
spędzę sam – w piekle.
Ale co na to powie moja Mariolka?
Pewnie będzie jej bardzo smutno
i zaszczeka, że taki niedojda jak ja
łapie się wszystkiego,
byleby tylko zrobić na złość.
Przeciągając się na niebieskiej chmurze,
przyznam jej rację.

Gdy miałam dwanaście i trzynaście lat,
 kochałam się w chłopcach z Back Street Boys.
 Byłam im wierna jak pies.
 W dniu, kiedy podano, że się rozeszli,
 poszłam na demo.
 Punki obrzucili nas jajkami i puszkami po piwie.
 Ja dostałam pełną w głowę i nie było mnie.
 I tak to się właściwie zaczęło.
 To nie jadłam nic, to obżerałam się
 i wtykałam palce do gardła, żeby wszystko wyrzygać.
 Pigułki, papierosy, alkohol i narkotyki –
 tak powinno wyglądać prawdziwe życie.

Kiedy poszłam na pierwsze odrucie,
 Robi nagrywał pierwszą solową płytę,
 a mnie wyrzucono z gimnazjum.
 W tydzień po mnie poleciał Sergiej,
 który zaopatrywał we wszystko całą szkołę.
 Uciekłam ze szpitala, złapali mnie po tygodniu,
 znowu uciekłam, znowu złapali,
 dałam więc spokój i wytrwałam do końca.
 Marzyłam tylko o jednym,
 i niech mi ktoś powie, że marzenia nie spełniają się.

Wstrzykuję sobie w wargi sromowe,
 żeby frajerzy nie widzieli pokłutych rąk i nóg.
 Mam piętnaście lat, wyglądam bosko,
 ani piersi, ani tyłka – frajerzy lubią małe dziewczynki.
 Wczoraj jedna facetka z radia robiła ze mną wywiad;
 powiedziałam po francusku: Kokaina, mon amour,
 wszyscy mnie słyszeli i podziwiali.
 Na pojutrze zgłosili się z telewizji.
 Za kilka lat, gdy będę już sławna i bogata,
 skończę z tym.

Sergiej wrócił właśnie z Kazachstanu,
 przywiózł tyle dobrych rzeczy,
 że wystarczyłoby nam na rok.
 Powiedział: Ronja, mam dla ciebie robotę,
 godziwą i regularną.
 Jego turecki przyjaciel wzbudza we mnie zaufanie.
 Mówi, że ma dom pod miastem
 i że będę się tam dobrze czuła,
 dziewczyny na pewno się mną zaopiekują.
 Kiedy zarobię górę szmalu,
 kupię sobie auto
 i zrobię tak, aby chłopcy z Back Street Boys
 znowu byli razem.
 Tak sobie przyrzekłam.

Znaliśmy się od dzieciństwa,
razem chodziliśmy na jagody i nad rzekę,
naszą rzekę prawdy i tysiąca przysięg.
W szkole siedzieliśmy w jednej ławce,
a Franek zawsze odnosił mój tornister do domu,
wcale się tego nie wstydząc.

Nasza dorosła miłość wybuchła łagodnie,
jak pąki kasztanów w kwietniu.
Dotknęłam wargami jego warg,
on położył rękę na mojej piersi
i już byliśmy zaręczeni.
Motyle kołysały się na trawie.

Gdy kasztany zlatywały sucho z drzew,
oddałam się mu, a on oddał się mi.
Potem siedzieliśmy, zapatrzeni w księżyc,
a Franek mruzczał, że skąd ma wiedzieć,
jak to się robi i że jest mu bardzo przykro.
Zamknęłam mu usta piersiami,
stając się dla niego i matką, i siostrą.
Kiedy chciałam czegoś więcej,
kładałam łagodnie jego dłoń na moim łonie
i prosiłam, aby mnie bardzo długo głaskał.
Płakaliśmy przy tym ze szczęścia.

Na wiosnę zabrali go do wojska
i zamęczyli na śmierć.
Mówią, że sam się zastrzelił, ale ja im nie wierzę.
Gdy przysłało list, pękło mi serce.
Dlatego poszłam w tę majową noc do lasu
i ze związanymi rękami i ustami
skoczyłam do rzeki.
Wybacz mi, rzeko, że to zrobiłam,
nasza rzeka prawdy i tysiąca przysięg.
A wy, co nie znacie rzeki, pamiętajcie:
Za mojego Franka – zginie wasz cały ród.

Gdy zatrzasnęły się bramy koszar,
moje życie skończyło się.
Stałem się kawałkiem czerwonego mięsa w czapce.
Panowie rezerwa zabrali się do mnie trzeciej nocy.
Zbili mnie mokrymi ręcznikami skręconymi w rzepkę,
na więcej musieli czekać tydzień, aż wyjdę ze szpitala.
Nic nikomu nie powiedziałem, nikt mnie o nic nie pytał.
Szef kompanii ryknął, żebym przestał rznąć wariata,
wylegiwać w piernatach mogę się w swojej wiosce.

Którejś nocy kazali mi rozebrać się do naga,
stanąć na stole i w świetle żarówki strugać krasnala.
Bili, gdy płakałem.
Śmiali się, gdy osunąłem się na kolana,
i zamknęli w metalowej szafie do rana.

Gdy szef kompanii zapytał mnie,
dlaczego mam wiecznie takie podkrążone oczy,
i jak tak dalej będę walił konia,
to mi włosy między palcami wyrosną.
Opowiedziałem mu co i jak.
Tak mnie panowie rezerwa za to stłukli,
że w końcu zrozumiałem, po co tu jestem, i dałem spokój.
Powiedziałem sobie, że wytrzymam wszystko,
aby tylko za dwa lata wrócić do lasu, do motyli
i złożyć głowę na miękkich piersiach Magdaleny.

Gdyby ten chudy kapral nie upił się i nie stał na warcie,
i gdyby nie dowiedział się wieczorem, że zdradza go żona,
pewnie nigdy nie zastrzeliłby mnie,
tej nocy, gdy zaczynały kwitnąć kasztany.

Tak bardzo bałam się o jutro,
że nie byłam w stanie skupić się na dziś.

Przemknęła obok mnie miłość mego męża,
przemknęły niewykorzystane okazje i nowa praca.
To, co robiłam, starałam się zawsze robić jak najlepiej,
nie rozumiejąc, że ludzie potrzebują oddechu
i że kwiaty rosną najlepiej, gdy słyszą muzykę.
Nie pobłażałam sobie i takąż byłam dla innych.
Bano się mnie i poważano,
a za plecami nazywano Żelazną Felicją Od Spinaczy.
Byłam zawsze lepsza od innych,
przez czterdzieści lat opuściłam tylko trzy dni w pracy,
jeden na śmierć ojca, jeden na matki, jeden na brata.

Nie zauważyłam nawet, kiedy odszedł mój mąż;
gdybym zauważyła, może zmusiłabym go do pozostania.
Nie spostrzegłam, jak odszedł mój syn,
napisał mi jeden list z Hanoweru, potem zamilkł.
Pewnie powinnam była mu odpisać,
ale moja duma nie pozwalała mi na to.
Sama uprawiałam tę moją zaczarowaną grządkę,
której koniec spowijały ciemności.

Często nie mogę spać, parzę wtedy rumianek
i wpatruję się w mój obrazek z pierwszej komunii,
na którym słomiany anioł przeprowadza dziewczynkę
przez most nad wzburzonymi wodami.
Obmyślam, co stanie się ze mną jutro,
i dusi mnie strach.
Nie mam nic, poza dobrą rentą.

Słyszałam, że mojego dawnego męża
pochowano gdzieś na Południu;
odszukam jego grób, nie zapomnę o kwiatach.
Gdybym wiedziała, w jaki sposób
można przyspieszyć czas,
bez zastanowienia zrobiłabym to.
Z dnia na dzień moja przyszłość
jest coraz bardziej niewiadoma.
Niech przestaną kipieć te wzburzone wody,
niech połknie mnie w końcu ta przeklęta nicość.
Niech znajdę się w końcu tam,
gdzie nie ma spinaczy i samotnego jutra.

Wstawałem o piątej, kładłem się o jedenastej,
i tak przez całe długie życie.
Spłodziłem trójkę dzieci, kupiłem trzy działki,
zbudowałem trzy domy i szklarni bez liku,
mogłem całe miasta zarzucić kwiatami.
Dałem ludziom tym samym tyle szczęścia,
ile oni mi pieniędzy.
Miałem jedną żonę i nigdy nie marzyłem o innej.
Goździki i tulipany tak mnie zajmowały,
że nie starczyło czasu dla dzieci.
Dałem im pieniądze,
a chciałem dać wykształcenie i serce.

Po drugim wylewie obudziłem się w szpitalu:
lewa połowa twarzy była sparaliżowana,
a kiedy szedłem, noga zostawała za mną,
jak wspomnienie o prawdziwej nodze.
Nic mi nie powiedzieli, ale ja dobrze wiedziałem,
że już nigdy nie będę taki jak przedtem.
Leżałem w sali zbiorowej, z sześcioma innymi,
całymi dniami przesadzałem w głowie rośliny.
Uratowała mnie synowa,
za którą nigdy nie przepadałem.
Zabrała mnie z psychiatrii, zawiozła do domu,
jakże jej byłem za to wdzięczny.

Rano wstałem, jak zawsze o piątej,
i poszedłem do pustej szklarni.
Było ciemno, grube krople deszczu leżały na szybach,
pachniało jesiennym chłodem wilgotnego torfu.
Zarzuciłem dwa paski klinowe na hak
i wytrąciłem sobie spod nóg
skrzynkę z cebulkami tulipanów.
Nie wiedziałem, że tak trudno się umiera.
To nie przez powieszenie umarłem, tylko na serce.

Oglądając siebie w kostnicy, słyszałem,
jak żona mówi: „Dlaczego mi to zrobiłeś!”
Nawet w śmierci nie znalazłem zrozumienia.
Dajcie mi odpocząć po spełnionym życiu i wybaczenie.
Papiery leżą w szufladzie, obok zeznania podatkowego,
nie zapomnijcie też zmienić ziemi przed wiosną,
niech goździki i tulipany kwitną jak zawsze.

Nie kochało mnie życie,
i ja życia nie pokochałem.
Życie nie jest po to, aby je kochać,
życie jest po to, aby je jakoś spędzić.

Nauczyłem się tego od ojca,
który wieczorem, zdejmując spodnie,
mówił uroczyście głosem: I znów kolejny dzień zбитy!
– i zasypiał snem sprawiedliwym.

Matkę nazywał zawsze wrednym kurwizsonem,
puszczała się jakoby z każdym,
aż w końcu nasze miasto stało się dla niej za małe.
Uciekła na wiosnę. Nienawidzę wiosen.

Wszystko, co wiem o kobietach, wiem od ojca.
To on zapłacił za moją pierwszą dziwkę,
a potem zbił mnie do nieprzytomności trzonkiem od siekiery,
gdy spostrzegł, że się w niej zakochałem.

Teraz jest już stary, jak orzech na podwórku.
Pozwala mi raz w miesiącu iść na dziwki.
Co za dużo, mój synu, to niezdrowo, mówi
i pierdząc, drapie się po wielkich jądrach.

Oszukuję go, odwiedzam moją Wiolettę częściej.
Jak ojciec zdechnie, ożenię się z nią.
Cóż to za świat, w którym trzonek od siekiery
jest mocniejszy i od orzecha, i od matki.

Mój mąż był od urodzenia psem ogrodnika,
sam nie zjadł, innemu również nie dał.
Wyglądał też jak pies, zwykły kundel,
nawet na plecach i czubkach uszu był owłosiony.

Zamykał mnie w budzie, a gdy próbowałam wyrwać się,
straszył, że i mi, i sobie coś zrobi.
Jakże żałuję, że nie wzięłam go wówczas za słowo:
zrobiłby mi kuku i byłoby raz na zawsze po krzyku.
Nie chciałam żyć w ciągłym poczuciu winy.

Zrywałam się z łańcucha trzy razy,
zawsze udawało mu się przekonać mnie,
że to tylko ja jestem wszystkim winna.
Wracałam do garów, wracałam do budy,
wracałam do tych jego włosów sterczących z nosa.

Pragnęłam go kochać, pragnęłam, aby on mnie kochał,
nie mogliśmy jednak dać sobie nawet przyjaźni.
I wtedy zaczęłam zrzędzić:
jeśli świeciło słońce, narzekałam na słońce i że świeci,
jeśli padał deszcz, wyzywałam deszcz i niszczyłam parasole.
Był ślepy jak telewizor, niczego nie zauważał.

Kiedy podczas pewnego obiadu
wyrzuciłam talerze z jedzeniem przez okno,
krzycząc, że jest przesolone, uciekł do swojego pokoju.
Zadowolona chodziłam po całym mieszkaniu
i śpiewałam na cały głos piosenki z mojej młodości.
W nocy poszłam sprawdzić, czy mój pies żyje.

Trzeba wielkiej odwagi, żeby coś zmienić.
 Nie miałam. Zrzędziłam więc dalej.
 I pewnie robiłabym tak do dziś,
 gdyby mi się po prostu nie odechciało.

Niekiedy nad ranem budzi mnie płacz dziecka,
 na które czekam od trzydziestu lat.
 Niekiedy, obierając ziemniaki w kuchni, czuję na szyi
 czyjś ciepły oddech i delikatny pocałunek.
 Niekiedy spływają mi bez powodu z oczu łzy
 i na próżno próbuję je wytrzeć brudnym fartuchem.

Mój mąż jest zimny.
 Ja jestem zimna.
 W końcu jakoś ześmy się do siebie dopasowali.

Nigdy nie udało mi się zrozumieć,
 czego właściwie chce ode mnie Walentyna
 i co do mnie czuje.
 Często chodziłem po rozum do głowy,
 błądziłem jednak nieustannie,
 niczym komornik usiłujący ściągnąć długi
 od ludzi, którzy dawno się wyprowadzili.

Dałem jej wszystko, co miałem;
 nie miałem za dużo, toteż mało dałem.
 Ot, kości, tanie mięso i jeszcze tańsze perfumy.
 Byłem zimny, bez wątpienia,
 jak ojciec i matka, którzy od dziecka leżą w grobie.
 Straszylem ją, bez wątpienia.
 Tak się bałem, że znowu zostanę sam,
 że musiałem w czyichś oczach
 zobaczyć jeszcze większy strach.
 Jej strach był jak dwa zimne księżyce.

Mam cztery łapy, sierść,
 ogon i włochate jaja.
 Urodziłem się psem,
 nigdy przed nikim tego nie ukrywałem.
 Wiedziała, kogo sobie bierze za męża.
 Czy można mnie winić za jej pomyłkę?

Kiedy stado kundli ciągnie ulicami,
 mam ochotę zabrać się z nimi.
 Żyję nadzieją, że na wiosnę
 Walentyna dopuści mnie do siebie.
 Tulę uszy pod siebie i wracam na legowisko.
 Nie wyję już po nocach,
 ból, który mnie rozsadzał, zelżał.
 Śnią mi się cycki, ogromne jak głód,
 wtulam się w nie i umieram.

Tym razem będziemy mądrzejsi,
nam się na pewno uda, mówiłaś,
a ja wierzyłem, jakbym czytał księgę od środka.
Nasza miłość przetrwa, zapewniałaś mnie,
a ja ufałem ci, nie widząc nic złego w tym,
że nadal mieszkaliśmy ze swoim mężem
i kupowałaś dla niego świeże pomarańcze.

Przysięgałaś, że nic was nie łączy,
że od lat nie śpicie ze sobą
i że zemścisz się na nim.
Za co i dlaczego, nie powiedziałaś.
On mnie jeszcze popamięta, krzyczałaś,
a ja kładłem dłoń na twoim policzku z brzoskwini
i milcząco przekradałem się jak pustynny złodziej
między wzburzonymi rzekami nocnego piasku.

Z twarzą wtuloną w twoje łono
powracałem do dawnej krainy ciepła,
gdzie wiecznie dojrzewają zielone cytryny.
Zawsze bez uprzedzenia zrywałaś się do lotu,
zarzucałaś płaszcz i mówiąc, że już czas,
znikałaś jak piasek, a twój waniliowy zapach
wypełniał mnie w nocy po brzegi.

Zmęczyły cię przypadkowe spotkania,
ukradkowe pocałunki, zwiędłe kwiaty ode mnie,
które ukrywałaś przed nim w szufladzie.
Kiedy pewnego razu nie przyszedłem,
wiedziałem, że odetchnęłaś z ulgą
i poszłaś samotnie na długie zakupy.
Potem wyrzuciłaś stare suknie
i żyłaś do następnego razu.

Gdybym potrafił jeszcze marzyć,
opowiedziałbym pustyni, co powróciła do mnie,
o brązowych i szarych oczach gazeli
i o wilgotnej skórze błyszczącej jak księżyc.
Gdybym potrafił kłamać, powiedziałbym,
że wciąż na ciebie czekam
i że niczego mi tak nie żal,
jak tamtej krainy zielonych cytryn.

W pogoni za wielkim szczęściem
 przegapiłam to mniejsze.
 W pogoni za miłością przegapiłam miłość.

Nie byłam młoda, gdy zjawił się.
 Miałam za sobą małżeństwo
 i kilku dobrych kochanków.
 Dokładnie wiedziałam, czego chcę i jak chcę,
 a także czego i jak nie chcę.
 Pełnymi garściami dawał mi to drugie.

Każde spotkanie z nim burzyło mój cały świat,
 a następnie budowało.
 To czułam się przy nim piękna i mądra,
 to znów brzydka i głupia.
 Mówiłam o porozumieniu i harmonii,
 on o tym, że życie składa się tylko z chwil.
 Mówiłam o tym, jak mój świat
 będzie wyglądał w dalekiej przyszłości,
 a on kładł mi łagodnie rękę na piersiach
 i wlatywał nad dachami domów.
 Mówił, że mnie bardzo lubi,
 a kochał mnie, dobrze wiedziałam,
 i on też to wiedział.

Dziś za jedno spojrzenie jego tatarskich oczu
 oddałabym całą roczną emeryturę.
 Za dotyk jego dłoni
 oddałabym to jedno, co mi jeszcze pozostało,
 a co od wczoraj należy do lekarzy
 i respiratora.
 Odłączcie mnie, proszę, odłączcie.

W pogoni za wielkim szczęściem
 nie znalazłam nic.
 W pogoni za wspomnieniem miłości
 dopada mnie śmierć.

Według norweskiego rocznika statystycznego
 i urzędu do spraw zabezpieczeń emerytalnych
 jestem bardzo, bardzo starym człowiekiem.
 Kiedy ostatni raz kochałem kobietę,
 byłem również stary,
 tyle że nic nie wiedziałem o tym,
 a niemiecki rocznik statystyczny nazywał mnie wyniośle
 męzczyzną między 40 a 45 rokiem życia.

Wchodzenie po schodach zajmuje mi
 tyle czasu, że można by śmiało zbudować
 kolejną elektrownię wodną w Dalen.
 Lekarze twierdzą, że gdybym zapalił papierosa,
 płuca moje pękłyby na kawałki, niczym nocny troll,
 którego o świcie dopadł promień słońca.
 Kłamcy, nieodrodni kumple mojej byłej żony.
 Co oni mogą wiedzieć o pękaniu.
 Palę, gdy tylko nadarzy się okazja.

Była piękna, była mądra, była rudowłosa,
 namiętna niczym hardangerskie skrzypce,
 zachłanna jak błotniste trzęsawisko na fjellu
 i czuła jak poranny wiatr nad fiordem.
 Wyraźnie widziałem w jej oczach,
 że jestem tak piękny, jak nigdy wcześniej.
 Była bowiem czarownicą.
 Oddechem zamieniała wodę w śnieg,
 a gdy mrugnęła okiem, lecieliśmy nad miastem.

Gdybym wtedy nie był stary,
 gdybym wtedy wyciągnął rękę,
 gdybym wtedy zechciał zostać z nią na zawsze,
 nie siedziałbym teraz ze złamanym krzyżem
 i prostatą wielkości góry Gausta
 na balkonie w Domu Starców w Mo
 nad jeziorem Byrte i nie liczyłbym dni,
 kiedy wreszcie papierosy rozsadzają mi płuca.

Zaprosiłem ją do Niemiec tylko na tydzień,
po trzech wzięła mi do łóżka,
a rano oświadczyła, że zostaje na zawsze.
Dobrze jest mieć dupę pod ręką, pomyślałem.
Polska baba zawsze lepsza od niemieckiej,
gotuje lepiej i o dom dba.

Potem był ślub, krótko potem dziecko.
Zapomniałem, że polskie baby są płodne.

Kazała mi, to wzięłem robotę,
harowałem od rana do wieczora:
odkurzaczem, wielkim jak największa pizda,
wciągałem odpadki, gruz i inne rzeczy.
Zmieniłem mieszkanie, urządziłem, kupiłem BMW,
kamerę wideo i garnki, których producent
gwarantował ich trwałość na całe życie.

Pewnego dnia wróciłem z pracy
i dowiedziałem się,
że jestem chamem i prostakiem.
Poszedłem do hotelu, potem do siostry,
potem znalazłem coś innego.
Nigdy nie wróciłem.

Słyszałem, że ma krawca z Polski
i że córka chowa się dobrze.
Poznałem taką jedną, też z Polski.
Przespaliśmy się.
Rozwiodłem się z pierwszą,
musiałem ożenić się z drugą.
Chyba nigdy nie nauczę się,
że polskie baby są płodne.

Za prawo do pozostania tutaj
oddałam mu swoje młode i gładkie ciało.
Wziął je nad ranem, pospiesznie, jakby bał się,
że zaraz mu je zabiorę; jeszcze nie wytrzeźwiał.

Przyzwyczaję się, myślałam,
matka przyzwyczaiła się do gorszych rzeczy.
Dał mi pokój na dziesiątym piętrze i jedzenie.
Chciałam więcej.

Wystarczyło, że wzięłam mu do buzi,
a znalazł pracę i zarabiał dobrze.
Najważniejsze, że nie było go w domu,
i że nie wyciągał po mnie brudnych rąk.

Gdy już dostałam więcej niż matka od ojca,
powiedziałam mu, co o nim myślę.
Postąpił, jak się spodziewałam:
uniósł się honorem i poszedł sobie.

Mam dziecko, mieszkanie i nowego.
Dostaje moje gładkie ciało, kiedy go zawezwę.
Jak mi się znudzi, wezmę sobie innego.
Dziecko i mieszkanie zachowam na zawsze.

Tam, skąd przyszłam,
nie wrócę przenigdy.
Za prawo pozostania tutaj
zapłaciłam więcej niż moja matka.

Najważniejszym jest,
aby uważać na znaki,
przeło od razu dostrzegłem,
że coś tu nie gra,
gdy Wieśka zaczęła stroić fochy
i obrażać się na mnie bez powodu.
To samo robiła moja matka
i wpędziła ojca do grobu.

Rękami i nogami broniłem się przed Wieśką,
ale nie miałem żadnych szans –
nikt nie uniknie swego przeznaczenia!
Poszedłem do wojska, do marynarki,
bo dłuższa służba i dalej od domu i od Wieśki.
A ona, choć jej wcale nie prosiłem, czekała,
jak pryszcz pod skórą.
Ledwo w cywilu, zacząłem pływać,
a ona zawsze po rejsie stała na brzegu
z kwiatami, bombonierką i dobrymi radami.

Nic jej nie obiecywałem, bo też nie chciała,
żebym jej cokolwiek obiecywał.
Ona wiedziała, że tak czy tak mnie dorwie.
No i dorwała.
Po dwudziestu latach na morzu
lekarz wypisał mi zaświadczenie
i musiałem przestać pływać.

Na łodzi czułem się jak statek bez steru,
Wieśka doczepiła się i była moim sterem.
Już w noc poślubną zaczęła stroić fochy.
Na próżno usiłuję z nią walczyć,
to tak, jakbym wsadzał
prawdziwy statek do butelki.
Widzę swoją matkę, widzę ojca
i widzę siebie w ciemnym grobie na dnie morza.

Pamiętajcie o tym,
żeby uważać na znaki,
i pomyślcie o Wieśce,
której przeznaczeniem było
stać się moją matką.

I niech mi kto powie,
że w życiu można się czegoś nauczyć.
Znaki, tylko znaki.
I to przekłete przeznaczenie!

Długo trwało, zanim zrozumiałam,
że mężczyźni to brudne bydło.
Tylko mój ojciec był czysty jak kobieta.

Kiedyś pomyliłam się
i przyszło mi za to drogo zapłacić.
Myślałam, że to skrzydła aniołów
wędrują sennie po moich biodrach,
a to były ręce mężczyzny.
Widziałam drabinę spływającą z chmur,
słyszałam, jak niebo cicho oddycha,
a on mnie zapłodnił.

Ożenił się nawet ze mną,
bo nie wypadało inaczej,
i razem chowaliśmy dziecko.
Miało dwanaście lat, gdy Józef pojął,
kim właściwie jestem.
Początkowo dawałam mu
z domowej kasy na dziwki,
potem znalazł sobie dziwkę na stałe.
Pojechał którejś niedzieli zatankować samochód
i tankuje do dziś.

Zwykle tuż przed świtem
pokrywają mnie trzy białe anioły.
Drzę z rozkoszy,
a kiedy myję ręce
– z obrzydzenia.

Trudno było żyć ze świętą kobietą,
jeszcze trudniej bez niej.
Ale udało mi się.

Od lat jeżdżę ciężarówką po całym świecie,
byłem już prawie wszędzie,
a gdzie nie byłem, jutro będę.

W Barcelonie spotkałem czarnego anioła,
odtąd jest ze mną.
Jak zasypiam za kierownicą,
bije mnie skrzydłami po twarzy
i opowiada o najdalszych krainach,
gdzie święte kobiety chodzą po wodę
w cynamonowych sandałach
i gdzie studnie wypełnione są łzami aniołów.

Oszukałem wszystkich.
Oszukałem moją świętą kobietę,
oszukałem moje święte dziecko,
oszukałem siebie.
Uciekłem, chociaż nikt
mnie nie chciał zatrzymać.

Będę w podróży tak długo,
aż czarny anioł pozwoli mi zasnąć.
Kiedy lekko szeleści skrzydłami,
widzę, jak moja ciężarówka
wzlatuje w otchłań nieba,
i wypełnia mnie ulga.

Ciężko było żyć z kobietą
w cynamonowych sandałach,
jeszcze ciężiej bez studni.

Poszedłem na dno otchłani, byłem w czyścicu
i dopiero tam cię odnalazłem.
Idąc z powrotem, nie odwróciłem się za siebie,
nie widziałem więc twoich mężczyzn i kobiet,
nie dostrzegłem siniego ciała,
na którym nie było wolnego miejsca na wbicie igły.
Nie spojrziałem ani razu za siebie,
mogliśmy wszystko zacząć od początku.
Wspinałem się miłością po twoich wargach,
jak po śnie pachnącym kwiatami czereśni.

Ile trwało moje szczęście? A twoje? A nasze?
Mgnienie skrzydeł, uderzenie piór ptaka.

Prosisz mnie dzisiaj, abym przypomniał sobie wszystko,
abym nadal szedł skalistym tunelem ku słońcu,
zostawił za sobą miasto i piekło,
a ja zamykam oczy i nie mówię nic.
Ptaki spadają z nieba jak anioły,
ziemia chętnie je przyjmuje.
Ich martwym skrzydłom brakuje pamięci.

Moje serce jest daleko,
tak daleko, jakby go wcale nie było.
Nie pragnę jeszcze raz pójść po ciebie.
Śpij, kochana, śpij, moja Eurydyko,
a gdy się już nie obudzisz,
będziesz tam, gdzie pole maków
zlewa się z nieboskłonem i milczy.

Odwracam się na drugi bok,
a ty zasypiasz na zawsze.
Tę ostatnią strzykawkę zachowam na pamiątkę.
Po moim oknie spływa wreszcie ciepła kropla deszczu.

Ptaki codziennie spadają z nieba,
nie mam już wcale o to do nieba żalu.

Nie tańczę, nigdy nie tańczyłam;
nie śpiewam, śpiewałam raz jeden w życiu.

Pamiętam, że przez mgnienie oka byłam szczęśliwa,
nie pamiętam, kiedy, z kim, dlaczego i dla kogo.
Zabrałeś mnie z ulicy, obiecując niebo, jesień w górach,
zachody słońca i ogień płonący na kominku.
Poszłam za tobą jak za białą chmurą.

Czy to, co mi dawałeś pełnymi garściami,
miało być naprawdę miłością?
Czy to jest już wszystko, co dostaje się tutaj
w zamian za obietnicę wytrwania?
Ramiona, słabe ramiona, co pragną stać się skrzydłami.

Ile krwi upłynęło ze mnie od dnia,
kiedy pierwszy raz zaczęłam krwawić.
Ile upłynie, nim przestanę.
Odmierzam czas krwią i dziećmi,
które wyskrobałam, aby nie mnożyć cierpienia.

Na końcu jeziora o wodzie czystej jak źródło,
które przepływają ci, co zapragnęli po raz ostatni ocaleć,
rozgniata się czaszki i robi z nich papier.
Ci, co stoją beczynnienie na brzegu, wiedzą już o tym.
Ci, co płyną, są nadzy i jeszcze szczęśliwi.

Odwróć się, Orfeuszu, teraz nie patrz na mnie,
nagą, bezbronną jak oczy wyrzuconego z gniazda ptaka.
Odwróć się, Orfeuszu, sama chcę popłynąć na drugi brzeg.
Kochaj mnie, kochaj jeszcze jedną chwilę,
a potem zapomnij, że byłam i że mnie nie będzie.

Niech czas, co odmierza się czaszką,
 przestanie nareszcie krwawić;
 niech przestanie kłuć mnie tysiącem igieł.
 Niech na tamtym brzegu przywitają mnie
 wszystkie moje dzieci z papieru.

Oszukałeś się, Orfeuszu:
 nie miłością byłam,
 a piekłem twojej samotności.
 Pomyliłeś się, Orfeuszu:
 nie ptakiem byłam, a skrzepem nieba.

Zgotowałem sobie piekło na ziemi,
 zgotowałem innym piekło.
 Teraz boję się, że wsadzą mnie
 do końca życia za kraty.

Nie sądzcie mnie, wy,
 którzy niczego nie rozumiecie;
 niech sądzą mnie te dwie dziewczynki,
 które zgwałciłem
 i żeby nie krzyczały,
 udusiłem i zatopiłem w trzęsawisku.

Nie wiem, kim jestem,
 i nigdy się tego nie dowiem;
 nie starczy mi na to
 ani serca, ani rozumu.
 Wysłano mnie tutaj,
 abym mordował dzieci
 i abyście nie nudzili się,
 patrząc w telewizor.

Nie sądzcie mnie, wy,
 którzy niczego nie rozumiecie;
 niech sądzą mnie
 te dwie małe dziewczynki.

Moje ciało dojrzywało powoli.
 Kiedy inne dziewczyny całowały się z chłopakami,
 ja wciąż jeszcze byłam dzieckiem.
 Kiedy inne stały się kobietami,
 ja byłam grzeczną dziewczyną z długim warkoczem.

Wybuchłam, gdy inne zaczynają przygasać.
 Wybuchłam, gdy inne od dawna przebywały
 w piekle nieudanego małżeństwa i dzieci.

Był zupełnie nie w moim typie,
 szybko jednak zauważyłam oczy i dłonie;
 zapragnęłam sprawdzić, czy są ciepłe.
 Jeszcze broniłam się, potem zawołałam go.
 Zapatrzona w orzechowe chmury, skoczyłam.

Jego ręce podtrzymały mnie.
 Na kominku spalało się brzoźowe drewno,
 w popłochu uczyliśmy się dotyku.

Odeszłam od męża, on odszedł od żony.
 Od pół wieku zanurzam się każdego dnia
 w orzechowych chmurach jego oczu
 i myślę, jak dobrze jest być
 staruszką z długim warkoczem.

Myślałem, że nic już się nie wydarzy.
 Z roku na dzień, z dnia na godzinę, z godziny na minutę
 stygłem uległe w oddechu Królowej Śniegu,
 która powtarzała mi bez ustanku,
 że miłość ziemską to forma istnienia zwierząt.

Gdybym nie przeczytał tej książki,
 gdybym następnie nie krzyknął na cały głos,
 że chcę inaczej i że na pewno można inaczej,
 Gerda nie pojawiłaby się chmurą ptaków,
 a moje serce używano by zamiast lodówki.

Przyszła, dotknęła, odczarowała.
 Założyłem śniegowce i w pośpiechu ruszyłem
 z Północy na Południe, gdzie czekała.
 Zamknęła mnie w ramionach,
 pełnych tęsknoty i miłości.

Jeśli mi nie wierzycie, że życie może być baśnią,
 odwiedźcie nas w górskiej chacie nad morzem,
 gdzie w ciepłym oddechu topnieją lustra.
 Przynieście swoje serca,
 Gerda je wam odczaruje.

O tę wyspę walczyłam z komunistami, z Niemcami,
a teraz z demokratyczną biurokracją.
Najpierw wspólnie z Manfredem, potem sama,
nie dla siebie, tylko dla wyspy i córek,
w gazetach o tym pisali, mam wycinki, mogę pokazać.

A zeszłej zimy to ukradli mi nowy kabel do prądu;
pewnego ranka obudziłam się
i nie było po prostu światła.
Mają takie swoje sposoby, żeby kabel przeciąć,
zwinąć i komuś sprzedać, na wódkę oczywiście.
Wiosną, kiedy w jedną noc śnieg zszedł do jeziora,
okazało się, że zniknęły również cembrowiny,
co miały być filarami do nowego mostu na wyspę.
Dźwigiem musieli przyjechać, nie inaczej,
każda ważyła przynajmniej ze sto dwadzieścia kilo.
U córek w mieście byłam, jak to robili, bo jak inaczej?

Na wiosnę łasica zagryzła ostatnią naszą kozę.
Myślałam, że to te moje trzy ciotki
podczas zabawy rozszarpały ją,
bo psy bawią się niekiedy okrutniej niż dzieci.
Nie poznałam jej, jak tak leżała na trawie,
no to zakopałam obok wiernej suki,
co była ze mną dwanaście lat.
Zebrałam na początku lata siano,
chcę sprowadzić konia, dla córek, i w ogóle.

Najgorzej na wyspie jest w zimie.
Córki w szkole, sama jak palec siedzę
i robię na drutach, oczko za oczkiem, rząd za rzędem.
W promieniu sześciu kilometrów żywej duszy.
Kiedyś czułam, że Manfred jest cały czas ze mną,
teraz to go już nie ma.
Albo nic nie czuję.
Nie chodzę na półwysep i nie patrzę na miejsce,
gdzie mu się to przydarzyło.
Tam takie chaszczce,
wszystko zarosło i przejść trudno.

Wyspa była przede mną,
woda będzie po mnie.
I te parę swetrów i szalików,
co je zrobiłam na drutach,
patrząc w rozgwieżdżone niebo
nad moją wyspą.

Stało się to dokładnie dwa tygodnie
po urodzeniu się młodszej córki.
Zima była, pierwsza noc nowego roku;
jezioro skute lodem, twardszym niż szyba pancerna,
a drogi przez las zasypane dokumentnie,
że tylko jeziorem przejedziesz.

No to pojechałem, peugeotem 306 po lodzie,
na drugi brzeg, półtora kilometra wszystkiego.
Sylwester był. Wypiłem, a owszem,
wypić przecież trzeba,
jak się człowiek spotka z kołem łowieckim;
potem u rybaków też piłem.
Potrafiłem; co bym miał nie potrafić!
Połówkę na trzy łyki brałem, ot co,
kaszkankę przegryzłem – i w drogę!
Wracałem krótko po północy, droga prosta jak strzelił
i jasna od gwiazd jak miasta niemieckie.
Rybacy mówili mi jeszcze, że rano widzieli
pływające po jeziorze łabędzie, i żebym uważał.
Zapomniałem o przerębli, którą wykuto, aby łowić ryby.
A może zapomniałem, że lód przed półwyspem,
na wysokości domu był tego roku cieńszy.
Tak mi było spieszno,
że o wszystkim zapomniałem.

Nawet nie spostrzegłem,
jak zewsząd otoczyła mnie woda.
Siedziałem w samochodzie na dnie jeziora,
naciskałem pedał gazu i wcale nie dziwiłem się,
że zgasł motor i światła.
Spuściłem szybę i pozwoliłem,
aby woda powoli wdarła się do środka.
Zgasiłem papierosa i zaczerpnąłem powietrza,
nie wiedząc, że robię to po raz ostatni,
i wypłynąłem jak szczupak z samochodu.

Ciągnęło mnie ku jasności, ale jasnością był lód.
Przerębla, której powinienem był szukać,
była ciemną plamą. Bałem się ciemności.
Kiedy napierałem rękami na zimną jasność,
zobaczyłem po raz pierwszy wyraźnie
pulsującą nade mną Gwiazdę Polarną
i ogarnął mnie krzyk.

Utopiłem się kilkadziesiąt metrów od domu.
Gdybym potrafił wtedy wyciągnąć rękę,
dotknąłbym główek moich śpiących dziewczyn.
Przez kilka lat krążyłem po wyspie i po jeziorze,
bo wcale nie wiedziałem, że już mnie nie ma,
a nikt nie przyszedł po mnie, aby mi to powiedzieć.
Najbardziej przykre było to, że nie mogłem
ani zapalić, ani wypić, ani zjeść kaszanki.
Kiedy żona przestała po mnie płakać,
odszedłem, jak lód na wiosnę.
Obiecałem wyspie, że wrócę.
Zobaczymy, jak z tym wracaniem będzie.

Pracuję tu w sezonie, w sumie jakies pół roku w roku.
Niekiedy mocno muszę się nagłowić,
skąd tu wziąć piwo, bo z wyspy do sklepu daleko.
Od siódmej do późnej nocy robię tu wszystko,
nazywa się to, że tak powiem, kurna, konserwator.

Miałem żonę, mam jeszcze córkę,
jest teraz u mojej byłej.
Po dziewięciu latach poszła w długą.
Daleko nie szukała,
z mężem własnej siostry się spiknęła,
dziecko zrobili – to ja się z nią wtedy rozmówiłem,
bo nie jestem głupi, wiem przecież, kiedy z nią spałem.
Rozwalili dwie rodziny, że tak, kurna, powiem.
Któregoś dnia wróciłem wieczorem z pracy,
a ona wszystko wymiotła:
meble, dywany, stołki, lodówkę.
Usiadłem na podłodze i zacząłem na nowo palić,
i tak do dziś mi to zostało.
Ojciec zaszedł do mnie i jak mnie tak zobaczył,
to mówi: „No, widzisz, głupi!”
A ja mu nic na to nie powiedziałem,
bo, że tak powiem,
nic mi nie przyszło do głowy.

Na wyspie mam wszystko: wikt, opierunek
i satelitę, ale rzadko patrzę, bo jakoś nie lubię.
Dobrze mi tu, dbają o mnie, na obiad dają
pierogi z jagodami albo ruskie, albo rybę, mięso.
Każdy coś lubi, a ja, że tak powiem, czerwony kolor.
Raz ubrałem się w czerwone wycierusy, czerwoną koszulę
i czerwone buty, a wszyscy na mój widok w śmiech.
No to, że tak powiem, buty, kurna, zdjąłem i czarne założyłem,
i tak poszedłem na dyskotekę.

Ale nic nie złowiłem, i też się ze mnie śmiali.
Jak się sezon skończy, to muszę z powrotem do miasta;
w zimie zajmę się pewnie papierosami z Rosji,
przebitka teraz kiepska, ale dobre to niż nic.

Jak tak sobie siedzę tutaj, na wyspie,
i w nocy wędzę sielawę albo węgorza,
to patrzę na jezioro i, że tak powiem,
myślę o tym i owym,
a najbardziej o tym, żeby dobrze uwędzić
i żeby smakowało.
No bo co ja tu innego mam do roboty.

Wylew dopadł mnie na krótko przed wigilią.
Wszyscy spodziewali się, że z tego to już nie wyjdę...

Jak było już po wojnie, wszystko się dla mnie zaczęło.
Wzięli mnie do UB i kazali walczyć z bandami.
No to walczyłem, a kto by tam się takich bał!
Pisać i czytać przecież umiałem, bo dziedzic ze Spędoszyna
posyłał mnie do szkół; jeszcze za sanacji zaiwaniałem
codziennie piętnaście kilometrów jak głupi,
żeby stać się mądrzejszy. No to i się stałem.
Poszedłem z tą nową władzą, bo mnie chciała.
Nie tak, jak ojciec i matka, których nie poznałem.
Potem nazywało się to, że brałem udział w akcji „Wisła”,
a my tylko wysiedlaliśmy jednych, a jak inni do nas strzelali,
to my do nich też. Tak się wtedy rozmawiało.
Doszedłem prawie do porucznika, ale zwolniłem się.
Żona tak chciała.
Poznaliśmy się, jak robiliśmy kocioł w jej mieszkaniu,
żeby tego jej męża, nauczyciela, wroga socjalizmu, przyskrzynieć.
Tydzień czekaliśmy na niego, skubany nie przyszedł.
No to się w niej zakochałem po uszy,
bo była taka bardzo ładna. Jak ozimina,
co ją przykrył śnieg, albo jak księżyc po dwóch setkach.
Zaraz wyciągnąłem z tego całego bagna,
co w nie sama przypadkiem wpadła.
Miała syna, rozeszła się z mężem, jak zaczęła ze mną.
Nigdy się nie przyzwyczaiłem do tego jej dzieciaka,
ale chowałem, bo tak trzeba było.
Jeszcze jednego miałem, ale już z nią.

Piłem, pewnie, że piłem. Nie, żeby zapomnieć,
tylko żeby pić i żeby pamiętać.
Pamięć zawsze miałem dobrą, do ludzi i do wszystkiego.
Dlatego pracowałem na kopalni na bramie,
kontrolowałem, kto i po co wchodzi i żeby nie wynosili.
Mówili, że coś ze mną nie tak, bo jak kto nie miał spodni,
to swoje z szafy wyciągnąłem i dałem.

Chociaż byłem komunistą,
na wigilię zawsze do domu kogoś sprowadziłem,
żeby nakrycie nie musiało stać puste.
Jak żona potem kiedyś umarła, to nie było nikogo,
kto by mi i ugotował, i poprał, i zrobił wigilię.
Nie było dla kogo pić, to piłem dla siebie.
Miałem coś koło siedemdziesiątki, kiedy poznałem
taką inną wdowę. Pobraliśmy się w urzędzie,
wesele było, że lepszego nie trzeba.
Przez kilka lat miałem prawdziwą rodzinę,
bo ona była dzieciata.
Swojego pasierba dawno nie widziałem.
Pił jak ja, tyle że głupio. Syn czasem mnie odwiedzał,
jak przyjeżdżał z Niemiec, też dzwonił czasem,
żebym mógł mu powiedzieć, co i jak w życiu trzeba robić.

Wylew dopadł mnie na krótko przed wigilią,
co już chyba mówiłem. Wszyscy spodziewali się,
że z tego to już na pewno nie wyjdę.
Toteż nie wyszedłem.
Wypijcie za moje zdrowie kielicha,
kiedy zasiądziecie do wigilijnego stołu.
Ja od teraz będę miał codziennie wigilię
i karpia, i kapusty, i makowca, ile dusza zapagnie.
Powiedzieć wam jeszcze chcę, że czasami zbierałem grzyby,
a w chwili śmierci byłem trzeźwy
jak moja pierwsza ślubna przez całe życie.

„Zawsze byłem stary,
za stary, aby dobrze żyć.
Cześć mej pamięci!” –
Tak kazałam w jego kamieniu wykuć.
Mój mąż, niech go porwie czerwony diabeł,
był od pięćdziesięciu sześciu lat ni psem, ni wydrą.
Jego pocałunki były jak posępna mina,
którą każdego ranka przyklejał sobie do twarzy
niczym kawał spleśniałego sera.
Ostatnie lata spędził
w spokoju na moim brzuchu;
od dziesięciu lat głądził nieustannie przy jedzeniu i mówił:
„Nie, wiosny to ja już na pewno nie doczekam!”
A ja byłam cierpliwa,
cierpliwsza od śmierci.
Pij tylko herbatkę i czekaj, śpiewałam sobie.
Dzięki Bogu, mój Bóg jest sprawiedliwy;
wiedziałam, że wcześniej czy później
straci cierpliwość.
Stało się to wcześniej.
Byłam w kwiecie wieku,
dziś jestem jeszcze młodsza.
Moja wolność jest nieskończenie wielka,
jak moje słodkie sutki,
jak mój pusty brzuch.
Nocami wierzę w czary,
a ten mój stary skurczybyk
powraca z podróży
na święty nigdy.

Nie doprowadziłem
swego życia do końca,
to ono zawiodło mnie jeszcze dalej.
Kilka rzeczy zapomniałem,
lecz dzisiaj nie potrzebuję już niczego.
Bardzo długo nie wiedziałem,
po której stronie mam stanąć
i ten spór miał swoją dobrą stronę:
stałem się nieśmiertelny.
Moja żona – niech po trzykroć żyje.
I ten kamieniarz,
co mnie kamieniem przygniótł
– on również.
Ja mam teraz ważniejsze
sprawy na głowie.

Robak wiecznego niezadowolenia,
robak zwątpienia pożerał mnie rankami i wieczorami.
Niezmiennie łaknęłam czegoś innego
niż tego, co akurat mocno zaciskałam w garści.
Skarżyłam się, rzucałam światu w twarz,
że inni dostają tortowe ciastka,
a mnie przypada spleśniały chleb razowy.

On to znosił, głaskał mnie po twarzy
powtarzał, że rozumie, że nie ma żalu
i że muszę pracować nad sobą.
Okłamywał się, okłamywał mnie.
Tak długo, jak potrafił, przymykał niebieskie oczy,
w których odbijała się rozpacz morza.
Nie przypuszczałam, że odejdzie.

Usmażyłam rybę, albowiem był piątek,
czekałam do północy, czekałam do niedzieli.
Stało się, nie wrócił. Odszedł morską falą,
brązową pianą rozplątał się bezszelestnie po piasku.
Odetchnęłam z ulgą. Cały rok płakałam.

Robak niezadowolenia, robak beznadziei
pożarł mi wszystkie piękne wspomnienia po nim.
Zostały te złe, zagnieżdżone w ciemnym mieszkaniu robaka.
Gdy księżyc stoi w pełni,
robak wpełza na moje piersi, na mój brzuch;
zamykam go w ramionach i mocno przyciskam do siebie,
śpiewając mu kołysankę o morzu.

Codziennie po robocie
zachodził do nas na róg:
wymyty, ogolony, pomada na włosach.
Stawiałem przed nim zawsze to samo.
Po pierwszym głębokim łyku
odstawiał delikatnie kufel
i wycierając wierzchem dłoni usta,
mówił niezmiennie:
„Ale dobre piwo... dzisiaj!”

Wszyscy wiedzieliśmy,
że z kuflami potrafił
obchodzić się lepiej
niż z własną żoną,
której kochankiem był magazynier.

Zazwyczaj po piątym piwie
był gotów, aby zmierzyć się
ze wszystkimi smokami tego świata.
Wychodząc, żegnał się uroczyście,
jakbyśmy się nie mieli więcej zobaczyć
i pokrzykiwał:
„Atlantyda, panowie, tylko Atlantyda!
Życ nie umierać!”

Któregoś dnia
nie przyszedł do knajpy.
Mówili, że zapracował się
w warsztacie naprawczym
na śmierć.
Głowę bym dał, że się mylili
i że Ryży Maryś
zabił w końcu swojego smoka
i po prostu wyjechał na Atlantyde.

Cały ranek spędziłem wśród choinek,
spory kawał drogi za miastem,
zanim kazałem jedną ściąć.
Troll z piłą motorową gratulował mi wyboru,
życzył *god jul* i uśmiechał się łagodnie pod nosem,
jakby był samym Gwiazdorem.

Wracając zrobiłem w supermarkecie zakupy.
Przygotowałem wszystko:
na piecu stał garnek barszczu,
lodówka pełna jak brzuch grenlandzkiego wala.
Odkorkowałem czerwone wino,
usiadłem na sofie i czekałem.

Pernille przyszła jak tegoroczna zima:
mocno spóźniona i wilgotna,
Zapaliłem lampki, zrobiło się kolorowo.
Całowała mnie, całowałem ją.
Zorza polarna migotała
w spienionych włosach.

Gdy wsadziłem jej rękę za majtki,
powiedziała, że musi już wracać
do narzeczonego, bo czeka.
Nie zatrzymywałem jej.
Długo stała w uchylonych drzwiach
i nie potrafiła ich zatrasnąć.

Zostałem sam i zająłem się
drugą butelką czerwonego.
W nocy zajrzałem do lodówki
i nie mogłem na nic się zdecydować.
Przez całe święta
nie ruszyłem jedzenia.

Śnieg sypał na ulice Trondheimu,
a ja sączyłem wino i myślałem o żonie,
która na wiosnę zabrała dzieci
i wróciła do Polski, i o tym,
jak ciężko jest być pod pięćdziesiątkę
i wypatrywać następnej zorzy polarnej.

Dostałem dwie dodatkowe nerki:
 najpierw jedną od urzędnika,
 a wiele lat później – drugą,
 od pewnego studenta matematyki.
 Nie potrafię wam powiedzieć,
 która była mi bliższa.

Te pierwsze, które otrzymałem
 od Boga albo od małpy,
 albo od wszystkich naraz,
 nie służyły mi zbyt długo.
 Po prostu, nie były to
 nerki na całe życie.

Tak mnie ta historia nerek
 ciągle zajmowała,
 że nie zdążyłem zacząć żyć.
 Potem było już za późno.

Jeśli zjawię się tutaj znowu,
 nie chcę pożyczać od nikogo nerek.
 Dajcie mi od razu dobre,
 albo wcale nie wysyłajcie.

Przybyłem tu bez żadnego zamiaru.
 To stary Axel, który rozpiął koszulę
 i wskazując na bliznę na swojej piersi,
 powiedział z uśmiechem:
pacemaker, Herzschrittmacher,
 natchnął mnie myślą, abym nauczył się latać.
 Zaraz pierwszego dnia pokazał mi samolot,
 budował go w szopie, obok. Z drewna.
 Szkielet gotowy. Skrzydła w kące.
 Za rok wzbiję się w powietrze,
 z lotniska w Fyresdal, powiedział, mrużąc oczy,
 osiemset metrów rozpędu, wystarczy.

Siódmego dnia wędrówek po okolicy
 znalazłem miejsce dla siebie. Wymarzone.
 Dziś wieczorem jadę tam. Z moimi skrzydłami.
 Ravnajuvet. Krucza Otchłań, jeśli dobrze przełożyłem.
 Dokładnie wiem, na który kamień wespnę się i odbiję,
 i 350 metrów polecę.
 Od trzech nocy słyszę wyraźnie,
 jak moje ciało rozbija się o skały.
 Potem już tylko bębny.
 Tak już jest, nie zostałem stworzony do latania.
 Żegnajcie.
 Witajcie.

To ja zabiłem w 1897
ostatniego niedźwiedzia w tej okolicy.
Zdarzyło się to w Myrvang, w Austheii.
Kiedy strzelba kopnęła mnie w obojczyk
i kula przecięła wilgoć poranka,
wcale nie wiedziałem,
że dokonuję wielkiego czynu,
który przejdzie do historii,
i że będzie się o mnie mówiło.

Żyłem jak niedźwiedź,
umarłem jak niedźwiedź.
Gdy późną jesienią
postrzeliłem się na polowaniu,
nie było nikogo,
aby zatamować moją ranę.
Do końca patrzyłem,
jak krew wycieka ze mnie.
Na granicy światów
powitał mnie niedźwiedź
i zabrał ze sobą.
Dałbym głowę,
że powiedział:
Chodź już, bracie.

Zagnało mnie do tej chaty poszukiwanie wiary.
Słyszałem, że w okolicy żyją ludzie,
którzy doznali olśnienia.
Byłem w Eidsborgu, gdzie stoi *stavkirke*,
byłem na cmentarzu w Mo,
gdzie słyhać śpiew Torbjærg Ripilen
i zanurzyłem się w zimne otchłanie jeziora Byrtevatn.
Potem pojechałem do Seljord, gdzie pewien uzdrowiciel
dał mi kawałek lnianego płótna nasączonego olejami.
To święte płótno obudziło na chwilę moją wiarę,
gdyż reumatyzm w nogach przestał mi dokuczać.

Wpuszczono mnie na spotkanie zielonoświątkowców,
gdzie ujrzałem płaczących ludzi, jak rozmawiali z Niebem
w nieznanym mi i sobie językach.
Dokładnie przewędrowałem Lauvvikfjell i okolicę,
nigdzie nie znajdując swojej starej wiary i Boga.

Gdy zatrzaskałem drzwiczki samochodu,
chcąc ruszać w drogę powrotną, zrozumiałem,
co naprawdę mnie tutaj przywiodło.
Zbudowałem chatę nad jeziorem Bandak,
założyłem sklep
i w końcu zawarłem pokój z sobą.

Torbjærg Ripilen

(1820 – 1893)

Moim najważniejszym zadaniem
 było robienie serów i śpiewanie pieśni.
 Chroniłam je przed zapomnieniem.
 Pieśni szybko wylatują ludziom z głowy,
 sery owcze i kozie są za to wieczne.

Teraz leżę tu, na cmentarzu w Mo, nad jeziorem,
 kilka mil norweskich od mojej rodzinnej zagrody,
 pod ociosanym kawałkiem skały,
 w którym wydłubano harfę
 i koślawą twarz, wcale niepodobną do mojej,
 i śpiewam dalej *Draumkvedet*,
 pieśń Olava Åstesona
 o podróży na drugą stronę.

Od dawna wiem, jak bardzo Olav mylił się;
 wszystko tutaj wygląda całkiem inaczej.
 Gdy ludzie w niedzielę przechodzą obok
 i znikają w kościele, by śpiewać psalmy,
 czuję w ustach smak świeżego sera,
 choć wiem, że w naszej okolicy
 nikt już nie robi serów.

Król Hane

Byłem bogatym człowiekiem.
 Posiadałem tyle koni, krów i owiec,
 że nie znałem ich wszystkich po imieniu.
 Na fiordzie kotysała się
 moja dumna łódź z głową smoka.
 Od wschodu moją zagrodę otaczał gęsty las,
 przez który nie wiodła żadna droga –
 od zachodu dostępu broniła woda.
 Posiadałem świętą krowę imieniem Gandsida.
 Kiedy piłem jej mleko,
 nikt nie mógł mi w niczym dorównać:
 byłem silny i niezwyciężony,
 jak góry i doliny Telemarku.
 Żyłem wspaniale.

Pewnego dnia posłyszałem,
 że w Setesdal pojawił się Olav.
 Zebrałem więc ludzi i poszliśmy na wojnę.
 Na północ od Bygland, koło Elingstjønn,
 doszło do bitwy.
 Oszczęp Olava,
 nazwanego potem bezpodstawnie Świętym,
 przeszył mnie na wylot,
 jak kościana igła płat skóry.
 Pochowano mnie jak króla, w kurhanie.
 Dano mi miecz, tarczę, najładniejsze ubranie,
 wytworny płaszcz i pas z kłamrą –
 dobrze wyposażono mnie na drogę.
 Obok spoczęła Gandsida,
 której mleka nie zdążyłem napić się przed bitwą.



Spis treści

Yeti	5	Arabski kochanek	40
Lucyna. Czerwone prześcieradło	6	Ruda Izolda	42
Georg. Modra kapusta	7	Papieros Tristana	43
Jadwiga. Przysięga	8	Łysy Paweł	44
Zenon. Nocna modlitwa	9	Grażyna. Brudne ręce	45
Helena. Wilgotne akacje	10	Roman, marynarz	46
Parys. Kartonowe kraty	12	Maria. Trzy białe anioły	48
Inżynier Andrzej K.	13	Józef. Jeden anioł czarny	49
Karin. Pachniałam jak kwiat	14	Orfeusz	50
Artur. Wycieraczka	15	Eurydyka	51
Jan, malarz	16	Ronni	53
Ina. Dzika kaczka	17	Gerda	54
Hortensja Charonek	18	Kay	55
Herbert Krzywe Lustro	20	Pani z wyspy	56
Kurt. Słowiańscy chłopcy	21	Manfred	58
Gruby Steenky	23	Jędrek, że tak powiem	60
Krzyk Agaty	24	Dziadek Felek	62
Wujek Wolfgang	25	Luise Melchert	64
Mariola. Najlepsze kawałki kury	26	Arnold Melchert	65
Zygmunt. Niebieska chmura	27	Kochanica robaka	66
Kokaina, mon amour	28	Ryży Maryś	67
Magdalena. Rzeka prawdy i tysiąca przysięg	30	Norweska wigilia	68
Szeregowy Franek	31	Dwie nerki	70
Żelazna Felicja Od Spinaczy	32	Kruk	71
Pusta szklarnia	34	Olav Eikland	72
Waldemar. Trzonek od siekiery	36	Aslak Vistad	73
Ciepło Walentyny	37	Torbjærg Ripilen	74
Robert. Głód	39	Król Hane	75

Zdjęcie na okładce: Hanna Rex

Zdjęcie autora: Kinga Muszer

Projekt okładki: Yngwarr Aptrgoengumenn, Erulier,

Wiesław Racki

Korekta: Iza Krupa

Copyright © by Dariusz Muszer, 2004

ISBN 83-916661-4-X

Publikacja wydana w serii



Biblioteka Pograniczy

Wydawnictwo 13 Muz

pl. Żołnierza Polskiego 2

70-551 Szczecin

Skład i łamanie: Wiesław Racki

al. Wyzwolenia 103/16, 71-421 Szczecin,

tel. (091) 422 34 37

Druk i oprawa: Raster-Druk

ul. Rayskiego 20, 70-442 Szczecin

tel./fax (091) 434 79 36

Printed in Poland